

# Złote Iglice 2000

Z okazji przypadającego dziś święta teatru najlepszym w tym sezonie dolnośląskim artystom przyznane zostaną nagrody.

Najwyższe wyróżnienia „Słowa Polskiego” i Wrocławskiego Towarzystwa Przyjaciół Teatru - Złote Iglice - otrzymują w tym roku: Ewa Skibińska, aktorka wrocławskiego Teatru Polskiego, Jolanta Żmurko, śpiewaczka wrocławskiej Opery, i Waldemar Staszewski, tancerz Teatru Muzycznego-Operetki Wrocławskiej. Srebrne Iglice dostają: Kinga Preis, aktorka Teatru Polskiego, Ewa Szydło, śpiewaczka Teatru Muzycznego-Operetki, i Mała Abesadze - tancerka tego teatru. Brązowe Iglice przypadają w udziale: Radosławowi Kaimowi, aktorowi wrocławskiego Teatru Współczesnego, Ewie Klanieckiej, śpiewaczce Teatru Muzycznego-Operetki, i Kamili Bryzek-Kowalskiej, tancerce tego teatru.

Tegoroczne Iglice po raz pierwszy, na podstawie plebiscytu zorganizowanego przez naszą redakcję i Wrocławskie Towarzystwo Przyjaciół Teatru, przyznawała kapituła. Powołano ją przy Wrocławskim Towarzystwie Przyjaciół Teatru. Wieloosobowemu gremium przewodniczył dr Ireneusz Guszpit, w składzie teoretyków, krytyków i dziennikarzy znaleźli się m.in. profesorowie Janusz Degler i Józef Kelera.

Uroczyste wręczenie Iglic odbędzie się dzisiaj, w Międzynarodowym Dniu Teatru, o godz. 13, w reprezentacyjnej sali wrocławskiego ratusza. W tegorocznym 35 plebiscycie oddano łącznie 986 głosów, Czytelnicy „Słowa Polskiego” zgłosili do nominacji 31 artystów sceny (aktorów, śpiewaków, tancerzy).

C. K.



Od lewej, u góry Złote Iglice: Ewa Skibińska, Jolanta Żmurko, Waldemar Staszewski, poniżej Srebrne Iglice: Kinga Preis, Ewa Szydło, Mała Abesadze, u dołu Brązowe Iglice: Radosław Kaim, Ewa Klaniecka, Kamila Bryzek-Kowalska.

**Prezentacja laureatów na str. 6** ►

# Międzynarodowy Dzień Teatru

## Rola przed lustrem

**Z EWĄ SKIBIŃSKĄ**, aktorką Teatru Polskiego we Wrocławiu, rozmawia Cezary Kaszewski

- Czy był taki moment i taka rola, po której powiedziała Pani do siebie: - jestem prawdziwą aktorką!

- Wręcz przeciwnie, przed paroma laty po jednej z ról stanęłam przed lustrem i powiedziałam głośno: ja już nie mam prawa być aktorką!!! I nie był to chwilowy kaprys kobiety, to trwało rok. Nie umiałam w tym czasie pracować... Na dodatek następna rola, rola Poliny w „Graczu” Dostojewskiego, okazała się zupełnie nieciekawą... Nie wiedziałam, co dalej robić. To są takie chwile rozdrożne, po których wszystko się może zdarzyć. Ceniłam sobie niektóre fragmenty ról, ale nie miałam pełnej satysfakcji.

- I pomógł Pani los czy mężczyzna?

- Spotkałam Krystiana Lupe, który zaproponował mi tytułową rolę w spektaklu „Kuszenie ci chej Weroniki”. W trakcie tej pracy powoli zaczęłam na powrót wierzyć w siebie.

- Aktorzy eksponują często rolę reżyserów...

- Moim pierwszym mistrzem był Jerzy Jarczyk. Rola Jany pod jego kierunkiem w „Pułapce” Tadeusza Różewicza przyniosła mi nagrodę za epizod. To była rola bezślowa, budowana karkołomnie, bo na karuzeli i na śmiechu. Zrobiłam to intuicyjnie i trochę bezwiednie... Okazała się prawdziwym krokiem milowym. Teraz, po doświadczeniach z Jarockim i Lupą, chciałabym pracować z młodymi reżyserami. Takimi, którzy wnoszą do teatru coś świeżego i nowego. Po 14-letnim stażu w teatrze interesuje mnie spotkanie mojego doświadczenia z ich niedoświadczeniem i odwagą.

- Czy długo odkładała Pani decyzję, jaki wybrać zawód?

- W ostatniej klasie licealnej postanowiłam ostatecznie: będę zdawała do szkoły teatralnej. Pamiętam nawet, kiedy się to stało - w bibliotece. Przeglądałam książki, oglądałam ich grzbiety. Koleżanka, która przy tym była, zapytała: przecież ty tego i tak nie przeczytasz, więc po co to tak przekladasz? Czytelniczką byłam średnią, pytanie było życzliwe i istotne. Moje lektury z tego czasu...? To był na pewno Dostojewski, to był Czechow. Chcąc skończyć studia pedagogiczne, które również brałam pod uwagę,



trzeba dużo czytać, a to nie było moja pasja. Pomyślałam sobie, że na studiach aktorskich trzeba wprawdzie czytać, ale nie tyle i nie tak. Zdawałam na wydział lalkarski, zostałam przyjęta. Lalki wybrałam dlatego, że podobała mi się praca dla dzieci. Studiowałam na tym wydziale rok i chociaż go porzuciłam, czasu tego nie uważam za stracony. Do dzisiaj cenię i wspominam dobrze zajęcia z „ożywiania martwego przedmiotu”. To była praca z materią. Teatrem mogły być, na przykład, meble, ścięte kwiaty... Wszystko właściwie, co nas otacza... Później, już na wydziale aktorskim, niejednokrotnie myślałam: co w istocie daje szkoła? Szkoła aktorska dała mi niewiele. Pamiętam i cenię z niej epizody. Tylko te z pozoru drobne zdarzenia były dla mnie ważne i miały wpływ na moją samoświadomość.

- Pofantazujmy jeszcze na koniec... nie o teatrze. Gdyby trzech wybitnych: aktor, polityk i sportowiec, zaproponowało Pani spotkanie, którego by Pani wybrała?

- (...) Zdecydowanie sportowca. Tylko on mógłby mnie nauczyć jazdy na snowboardzie. Mogłby być także biegacz-średniodystansowiec. Mało biegam, a w takim towarzystwie biegaloby mi się i zreczniej, i łatwiej.

- Dziękuję za rozmowę.

## Wszystko zaczęło się od wagarów

**Z JOLANTĄ ŻMURKO**, solistką wrocławskiej Opery, rozmawia Magda Wojciechowska

- W szkole średniej koledzy wróżyli Pani zupełnie inną karierę...

- Byłam solistką wołowskiego młodzieżowego zespołu bigbeatowego. Śpiewaliśmy standardy lat siedemdziesiątych. Z Wrocławia przyjeżdżał profesor Hintz. Usłyszał mój śpiew i zaproponował, abym zdawała do Akademii Muzycznej. Pewnego razu pojechaliśmy z klasą na wycieczkę do teatru, a ja postanowiłam razem z koleżanką uciec i pójść do Opery. Poszliśmy na „Toscę”. Kiedy rozpoczęła się aria w więzieniu, zaczęłam śpiewać. Ludzie mnie uciszali, ale mi to nie przeszkadzało. Wtedy postanowiłam, że będę śpiewaczką operową.

Kiedy opowiedziałam o tym kolegom z klasy, pukali się w głowę i mówili, że ja bardziej nadaję się na wokalistkę bigbeatową. Przyjechałam na egzaminy na Akademię Muzyczną i zdałam.

- Kiedy zaśpiewała Pani swoją pierwszą poważną rolę?

- To było na trzecim roku Akademii Muzycznej. Śpiewałam partię Olimpii w „Opowieściach Hoffmana” w reżyserii Igora Przegrodzkiego. To była partia, którą trzeba wykonać z tak zwanym b trzysłownym. Koledzy przychodzili za kulisy i mówili: „Teraz gwizdek śpiewa”, bo ten dźwięk jest bardzo wysoki. To był mój debiut operowy.

- Do ulubionych partii operowych zalicza Pani...

- Najbardziej odpowiada mi partia w „Traviacie”. Jest w niej tyle koloru. Przez dwadzieścia lat mi się nie znudziła. Zawsze coś w niej wygrzebie. Daje duże możliwości popisów, zarówno wokalnych, jak i aktorskich.

- Czy w karierze artystycznej miała Pani swój „czarny dzień”?

- Tak. To było na Moniuszkowskim Festiwalu w Kudowie Zdroju. Miałam zapalenie oskrzeli, brałam antybiotyki i nie mogłam być z domu. Ale ja pojechałam do Kudowy i zakwalifikowałam się do konkursu młodych talentów. Na próbie śpiewałam doskonale, byłam faworytką jurorów. Na koncercie, w arii Królowej Nocy ze „Strasznego dworu”, nie udało mi się zaśpiewać ani jednego „f”, gdzie w tej partii czeka się na ten dźwięk. To była wielka porażka. Kiedy wróciłam do domu, leżałam zapłakana przez dwa tygodnie. Nie chciałam nawet wychodzić z domu. Myślałam, że już nigdy nie będę tej partii wykonywała. Ale podczas wakacji, przy ognisku, znowu zaśpiewałam Królową Nocy i to o jeden dźwięk wyżej. Później przez jakiś czas, jak się zbliżałam do tego dźwięku, to sztywniałam, zaraz mi się przypominała moja porażka.

- Z którym śpiewakiem operowym chciałaby Pani wystąpić?

- Mam marzenia, ale one nigdy się nie ziszcza. Moim idolem zawsze był i jest Plácido Domingo. Zarówno pod względem śpiewu, jak i wyglądu. Chciałabym z nim zaśpiewać moją ulubioną „Traviatę”.



## „Więcej nie powiem, aby nie zapeszyć”

**Z WALDEMAREM STASZEWSKIM**, pierwszym tancerzem i choreografem Teatru Muzycznego-Operetki Wrocławskiej, rozmawia Marek Perzyński

- Która to Pana Złota Iglica?

- Powiem szczerze, że nie wiem. Wiele ich było.

- Pewnie już trochę Panu ta nagroda spowszedniała.

- Absolutnie nie! To zawsze miłe. Znak - że publiczność dostrzega i docenia. W moim przypadku jest to miłe szczególnie, bo gram już mniej czołowych ról niż kiedyś. Odbieram tę nagrodę jako wyróżnienie dla całego zespołu. Przecież nasza operetka gra więcej baletów niż choćby... Teatr Wielki w Warszawie. Możemy sobie na to pozwolić, bo mamy coraz lepszy zespół. Jest z kim i dla kogo pracować. Nie gralibyśmy kilku różnych spektakli baletowych z rzędu, gdybyśmy nie wiedzieli, że publiczność przyjdzie.

- Mówi pan o tym, że ma Pan z kim pracować. Czy rzeczywiście?

- Właśnie dosta-

łem list od pewnej tancerki, że chciałaby się do nas przenieść, bo dużo gramy i dobrze się o nas mówi w środowisku. Nasz zespół jest coraz lepszy. Mówię o tym z pełnym przekonaniem.

- „Panu (lub Pani) już dziękujemy” - często słychać takie dictum w Pańskim zespole?

- To sprawa naturalna, że jedni odchodzą, inni przychodzą. Nie ma innego wyjścia, jeśli chce się, aby zespół był coraz lepszy. W ciągu siedmiu lat, jak nim kieruję, przewinęło się przez niego około trzydziestu osób.

- Coraz śmiejiej mówi się o powołaniu we Wrocławiu szkoły baletowej z prawdziwego zdarzenia. Jest taka szansa?



- Jeśli znajdą się budynek i pieniądze - bardzo duża. Najważniejsze dla tego przedsięwzięcia - siły fachowe do poprowadzenia takiej placówki - już są. Rozmowy na ten temat są dalece zaawansowane. Więcej nie powiem, aby nie zapeszyć.

- Ma Pan jakieś życzenia do dyrektora operetki?

- Aby był dalej dyrektorem, bo kieruje naszą placówką bardzo dobrze.

- Żadnych uwag, próśb?

- Życzenie: abyśmy nie musieli, tak jak obecnie, pracować w dwóch obiektach po dwóch stronach ulicy. Wiem, że to wymaga rozbudowy obecnego obiektu, w którym występujemy. Mam nadzieję, że to się szybko uda.

- Życząc tego, dziękuję za rozmowę.

**KINGA PREIS, aktorka  
Teatru Polskiego we Wrocławiu**

Wiadomość o otrzymaniu tegorocznej Srebrnej Iglicy redakcja „Słowa” przekazała aktorce do Warszawy. Laureatka kręciła w stolicy kolejny film...

- Mam szczęście, bo jak dostaję rolę, to główne. Ostatnio gram Różę w filmie Leszka Wosiewicza „Przeprowadzki”. To film telewizyjny, dziesięciocodinkowy. Historia, która zaczyna się na początku kończącego się właśnie wieku. Rok 2000 stanowi jego finał. Zaczynam ten film jako 19-latkę, kończę jako kobieta prawie 70-letnia. Mam charakterystykę, która zmienia mi kolor oczu, włosów... Tak naprawdę to nie o zmianę fizjonomii chodzi, ale o pokazanie, jak zmienia się psychika tej kobiety. Zagrałam także po raz drugi u Krzysztofa Zanussiego. Reżyser powierzył mi w „Skowronku” Jeana Anouilha rolę Joanny d’Arc, przyszłej świętej. Ja wiem, że ona taką została, ale grając tę postać staram się o tym zapomnieć, taka „nadwiedza” czasami przeszkadza.

Zodiakalna Panna, matka 2,5-rocznego Antosia. Otrzymała prestiżową nagrodę za drugoplanową rolę kobiecą w filmie „Poniedziałek” na Festiwalu Filmowym w Gdyni w 1998 r., ta sama rola została ostatnio nomino-



wana do Polskich Nagród Filmowych „Orły 2000” (warszawskiego Oscara), uzyskała także pięć nagród, w tym najważniejszą, na ubiegłorocznym Przeglądzie Piosenki Aktorskiej, w poprzedniej edycji zdobyła „Brazową Iglicę”. Jej aktorski debiut w spektaklu „Kasia z Heilbronn” krytyka określiła mianem wydarzenia, jako studentka III roku (1994 r.) zagrała tytułową rolę u samego Jerzego Jarockiego! Po debiucie przed 6 laty w teatrze i filmie obsadzono ją w ok. 30. rolach. Zagrała m.in. u Wajdy, Jarockiego, Kutza, Englerta, Prusa, Glińskiej. Od 1995 roku jest aktorką Teatru Polskiego we Wrocławiu. Iglicę zdobyła po raz drugi.

**EWA SZYDŁO,  
śpiewaczka wrocławskiego  
Teatru Muzycznego-Operetki**

Laureatka ubiegłorocznej Brązowej Iglicy. - Do Teatru Muzycznego przyszedłam bezpośrednio po studiach na wrocławskiej Akademii Muzycznej - opowiada artystka o początkach swojej drogi artystycznej. - Byłam w klasie Felicji Jagodzińskiej, która była dla mnie gwiazdą. Pierwszą rolą był epizod w „My Fair Lady”, gdzie grałam pokojówkę.

Ewa Szydło nie ukrywa, że próby, a przede wszystkim dbanie o głos, to bardzo ciężka praca. - To niekończąca się orka, potrzebna jest systematyczność, aby nie stracić nic z tego, co się uzyskało. Trzeba ciągle ćwiczyć.

Śpiewaczka pilnie przygotowuje się do swoich ról. Jako Magda w „Sztukmistrzu z Lublina” musiała zaprezentować na scenie swoje wręcz akrobatyczne zdolności. - Wydawało mi się, że to mistrzostwo świata - mówi artystka. - Jako dojrziała kobieta musiałam sprostać trudnym wymaganiom. Nie było to akrobacje na miarę cyrku, ale nauczyłam się, na przykład, stania na rękach czy żonglerki.

Teraz Ewa Szydło przygotowuje się do musicalu „Chicago”. - Dostałam



rolę, na którą czekałam całe życie - zwierza się. - To duży spektakl, trzeba śpiewać, tańczyć. Gram Rosie - więźniarkę. Jesteśmy teraz na etapie rozkładania wszystkiego na części pierwsze.

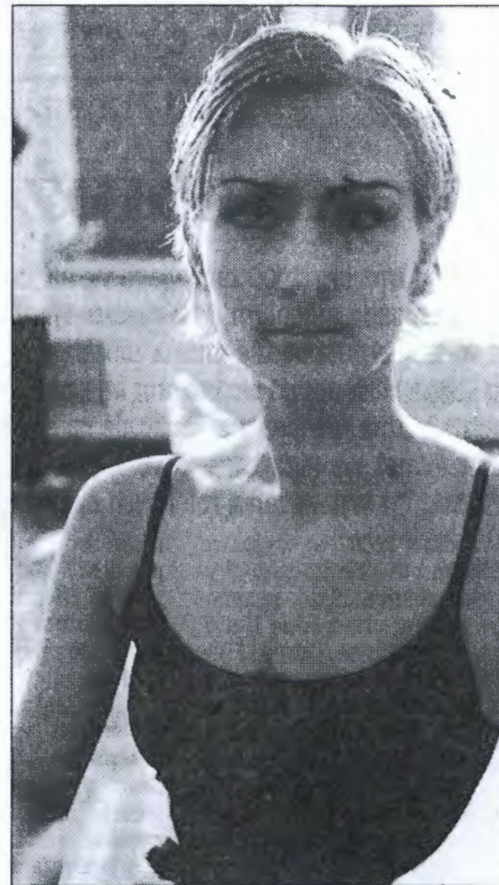
Wolny czas spędza na remoncie mieszkania. - Jestem razem z mężem na etapie jego urządzania - opowiada. To tworzenie od podstaw, nawet zmienianie stropów sprawia niesamowitą frajdę.

**MAJA ABESADZE,  
tancerka Teatru Muzycznego-Operetki Wrocławskiej**

W ubiegłym roku zdobyła Złotą Iglicę, śmieje się, że w tym roku odnotowała więc spadek. Jest Gruzinką, ukończyła szkołę baletową w Tbilisi. Do Polski przyjechała z całą rodziną, bo w rodzinnym kraju sytuacja ekonomiczna była już tak kiepska, że realizacja siebie jako artystki była praktycznie niemożliwa.

W ubiegłym roku narzekała, że w operetce za mało jest spektakli baletowych, mało tańczy się na pointach. W tym roku narzekań tego typu już nie ma. Co wcale nie znaczy, że pani Maja jest zadowolona. Uważa, że teatr powinien więcej podróżować, pokazywać się, przywozić nowości. Ma nadzieję, że i to się zmieni.

Jest optymistką, ciężko pracuje i liczy, że w przyszłym roku kapituła znów ją dostrzeże. Ma jednak nadzieję, że nie będzie kolejnego spadku „w dół”.

**RADOŚLAW KAIM, aktor  
Teatru Współczesnego  
we Wrocławiu**

Na scenie wrocławskiego teatru gra od dwóch sezonów (aktualnie w „Sytuacjach rodzinnych”, „Kosmosie” i „Kalece z Inishmaan”, przygotowuje się do kwietniowej premiery „Pod drzwiami” Wolfganga Borcherta). Debiutował w krakowskim Starym Teatrze w „Przebudzeniu się wiosny” w reżyserii Pawła Miśkiewicza, w Krakowie również zagrał w „Lunatykach” Krystiana Lupy.

- Kiedy Krystyna Meissner zaczęła zbierać nowy zespół do Wrocławia, zdecydowałam się na przeniesienie. Skończyłam krakowską szkołę teatralną, ale propozycja zagrania w „Kalece z Inishmaan” we wrocławskim Teatrze Współczesnym okazała się nader silną pokusą.

Związków z Krakowem zupełnie nie zerwał, w Nowej Hucie w Teatrze Ludowym gra postać młodego zbuntowanego chłopaka. Jamesa Deana po obejrzeniu „Olbrzyma”, „Buntownika bez powodu” i „Na wschód od Edenu” uważa za niedościgły wzór. Z krajowych aktorów najbardziej ceni Andrzeja Seweryna. Przed szkołą teatralną studiował architekturę, zaliczył nawet dwa lata studiów. Zamiast budowania domów wybrał budowanie ról. Przyszła praca architekta wydała mu się za mało energetyczna...

W „Sytuacjach rodzinnych” na scenie Teatru Współczesnego zmierzył



się z trudnym aktorsko zadaniem. 26-latek w końcówce dramatu gra rolę 80-latka. Lubi podróże, zjechał prawie całą Europę, na najbliższe wakacje wybiera się do Indii, chciałby poznać Himalaje. Mieszkając w Krakowie wyjeżdżał często w Tatry. Teraz, z Wrocławia, chciałby wejść wyżej.

**EWA KLANIECKA, śpiewaczka  
wrocławskiego  
Teatru Muzycznego-Operetki**

Od skończenia wydziału wokarno-aktorskiego wrocławskiej Akademii Muzycznej na stałe związała się z operetką. Od początku wiedziała, że będzie śpiewać. Od lat związana jest z Wrocławiem. - Nigdy nie zdradziłam i nie zostawiłam swojego miejsca, mimo że wyjeżdżałam na gościnne występy - mówi artystka. - Jestem związana z Wrocławiem poprzez szkołę, miejsce zamieszkania, pracę. Ja po prostu kocham to miasto. I ludzi, z którymi od lat pracuję.

Śpiewała czołowe partie operetkowe i musicalowe w najważniejszych przedstawieniach, m.in. Hrabinę w „Wiedeńskiej krwi”, Rozalindę w „Zemście nietoperza”, Sylwię w „Księżniczce czardasza”, tytułową rolę w „Wiktorii i jej huźarze”. - Przebieg mojej drogi artystycznej jest naturalny - opowiada Ewa Klaniecka. - Jako młoda dziewczyna grałam subretki, potem - w miarę rozwoju głosu i aktorstwa - amantki, które do tej pory grywam. Zaczynam już teraz wchodzić w trzeci wymiar, w rolę tzw. charakterystyczne. Niedawno zagrałam Goudę w „Skrzypku na dachu” i jest to moja druga rola w tym spektaklu, bo



przez osiem lat grałam córkę. Jest to już wyraźny znak czasu, także tego, co dzieje się w moim życiu artystycznym.

Artystka przygotowuje się do premiery musicalu „Chicago”, w którym zagra mamę Morton - strażniczkę więzienną. Często występuje w duecie z mężem Ryszardem Klanieckim. Jest mamą szesnastoletniego Filipa i sześciolatniej Matyldy.

**KAMILA  
BRYZEK-KOWALSKA,  
tancerka Teatru  
Muzycznego-Operetki  
Wrocławskiej**

Jest przykładem na to, że nie trzeba ukończyć szkoły baletowej, tylko bardzo chcieć, dużo pracować i uczyć się od innych, aby tańczyć w balecie. Wrocławianka z krwi i kości. Tutaj się urodziła, ukończyła liceum, a potem uznała, że warto popracować w teatrze. Dostała angaż w... balecie. Nie przeraziło jej to, lubi nowe wyzwania. Aby szybciej osiągnąć cel, brała korepetycje.

- Pokochałam wówczas taniec. I tak już zostało - mówi.

Mąż również pracuje w operetce (jako solista). Od zawodowych problemów w domu więc nie uciekną, ale ma to i swą dobrą stronę - wzajemnie się rozumieją.

Iglicę otrzymała po raz pierwszy.



**Teksty: Cezary Kaszewski, Magda Wojciechowska, Marek Perzyński**

**Zdjęcia: Krzysztof Czajka,  
Mariusz Czulczyński, Tatiana Jachyra, Marek Grotowski**